

Adam Wiaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

25

Co pocznie dalej — nie wiedziała i... rzecz dziwna, na pomoc Konrada nie liczyła wcale. Nie przeszło jej to nawet przez myśl, że on właściwie teraz troszczyć się o nią powinien.

— Jak ja ci mam dziękować, Józiuńko, jak? — szeptał dalej Żarnicki, tuląc do swoich spieczonych warg rękę Józi.

— Za cóż masz dziękować? Przyjechałam, bo tęskniłam, bo pragnęłam cię widzieć. Gdybym nie przyjechała, to zwarywałabym chyba.

— Józiu! Dziecko! Ty chyba nie zdajesz sobie sama sprawy z tego, coś zrobiła dla mnie i coś rzuciła! Ale ja to rozumiem! Byłem słaby, byłem lekomyślny, to prawda, ale podły nie byłem nigdy, Józiu! I kocham cię! Wyzdrowieję, zaczniemy we dwoje nowe życie! Wierzysz mi, Józiu, wierzysz? — mówił gorączkowo.

— Wierzę! — odszepnęła Józia jakoś niepewnie, wahając.

Gdyby była szczerą w tej chwili, byłaby krzyknęła: Nie wierzę! Kocham cię i dla tej miłości rzuciłam wszystko, ale w szczęście nie wierzę!

— Dlaczego nie zdejmujesz płaszczyka, Józiu? — zapytał nagle Żarnicki — Tutaj duszno, gorąco, zaziębisz się...

— Ja już odejść muszę...

— Już? Dlaczego?... Poczekaj! Przyjdzie moja matka, zapoznam was... powiem jej...

Dreszcz przerażenia wstrząsnął nagle Józią.

Matka Konrada, o której zapomniła zupełnie, zamajaczyła jej w myśli: groźna, nieublagana, szdercza.

Tak! Ta kobieta przyszedł, ale chyba po to, żeby ją znieważyć i wypędzić.

Trzeba iść! Trzeba odejść samej! Dokąd, wszystko jedno!...

— Odechodzę już Konradzie... Bądź zdrow...

— Dlaczego się tak spieszysz?... Dokąd chcesz iść?... Gdzie zamieszkałaś, Józiu?...

— To jest... dotychczas... właściwie nigdzie... nie miałam czasu pomyśleć o tem...

Dźwignął się z poduszek i, z niezwykłą ucho rego siłą, chwycił dziewczynę za rękę.

— Józiu! Spójrz mi prosto w oczy!... Ty nie jesteś szczerą, nie masz do mnie zaufania!... Prawda! Nie zasłużyłem dotychczas na nie!

— Ależ, Konradzie!... Doprawdy, nie wiem, o co ci chodzi?... —

— Wiesz!... Dziecko szalone, co ty robić zamysłasz?... Powiedz! Przyjechałaś tak, jak stoisz?... Ty nie tylko nie masz mieszkania, ale nie masz pieniędzy, żeby je sobie wywalać, prawda?... —

Na twarz Józi wytrysnął gorący rumieniec. Odwróciła głowę.

— Nie, nie, mam pieniądze... Puść mnie, muszę iść...

— Nie kłam!... Ja umiem czytać w twoich oczach!... O! Józiu! Czy ty nie czujesz tego, jak bardzo mnie upokarzasz tym brakiem zaufania?... Na moje wezwanie rzuciłś bezpieczne zacisne schronienie, a teraz wołałabyś raczej błądzić bez dachu, niż...

Nie dokończył, bo w tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła, głośno i szybko dysząc, pani Żarnicka.

Guwne spojrzenie jej władnych, ciemnych oczu piorunem padło na Józię, której ręce trzymał jeszcze w swoich Konrad.

Dziewczyna usunęła się szybko. Pod wzrokiem Żarnickiej skurczyła się, zmalęła i uczyniła ruch taki, jakby coprodej znaleźć się chciała przy drzwiach.

Ale Konrad przeszkodził tej ucieczce. Z rozbiysiem szczęściem oczyma wyciągnął rękę i, wskazując matce na Józię, rzekł tonem pewnym i stanowczym:

— Mamusi! Ciesz się razem ze mną!... Patrz! Moja narzeczona przyjechała!... Mamo, uściśnij swoją synową!...

Obe kobiety stały nieruchomo, mierząc się teraz wzrokiem bo i Józię po chwili tchórzostwa, ogarnęło uczucie jakiejś rozpaczliwej odwagi...

Ani jedna ani druga nie postąpiła kroku, ani jedna ani druga nie przemówiła słowa.

Tylko oczy Józi patrzyły coraz śmielej i jakby wyzywająco, a spojrzenie Żarnickiej pałało coraz silniejszą nienawiścią i coraz większym gniewem.

Może byłaby zapomniiała nawet o chorobie syna i potrzebie oszczędzania go, może wypowiedziałaby

jakieś słowo złe i twarde, gdyby nie doktor Rzęśniewski, który spieszył za nią do swego pacjenta.

— Brawo! Panie Konradzie!... — zawołał już od progu — Siedzimy na łóżku, doskonale!... I jakiś inny blask oczu!... Nie omyliłem się... Z pani lepszy lekarz niż ze mnie!... — zwrócił się z żartobliwym uśmiechem do Józi.

Żarnicka opamiętała się i przygryzła wargi.

Konrad z przykrem zdziwieniem spoglądał to na matkę, to na Józię...

— Mamusi, dlaczego nie mówisz nic do mojej Józi? Józiu, dlaczego nie witasz się z moją mamą?... —

Józia podniosła wyżej głowę i nie zmieniając swojej sztywnej postawy, rzekła suchym, bezdźwięcznym głosem:

— Ja się już witałam z panią Żarnicką!...

Kapryśne słońce rozdarło oponę mgły i nagle, jakby z poza szarej, brzydkiej kurtyny, podniesionej niewidzialną ręką, wytonił się świat górskich olbrzymów w całej potęgze swojej groźnej piękności...

Złusnęły w słońcu świeże śniegi na szczytach i przełęczach, wychyliły się smukłe turnie, niezgrabne „kopy“, zębate „granie“, poszarpane baszty...

Józia, która ulicą zakopiańską idzie obok doktora Rzęśniewskiego, zatrzymuje się zdumiona, olśniona i patrzy.

Pomimo wszystkie troski i wstrząśnienia, wrażliwa jej natura nie może pozostać obojętną w obliczu dzikiego, tajemniczego piękna gór...

Doktor Rzęśniewski uśmiecha się zadowolony, widząc na tej smutnej, stroskanej twarzy dziewczęcej wyraz podziwu i zachwytu.

— Pani pierwszy raz widzi góry? — pyta.

— Pierwszy... Nie wyobrażałam sobie, że to może być takie piękne... Jak zaklęte jakieś królestwo... Cudne, tajemnicze, a groźne... Wie pan, to tak, jak u Mickiewicza: „i ręką tam nie wskazuj, nie masz u rąk pierza i myśli tam nie puszczaj“...

— No, nie wszystko takie groźne i niedostępne, jak się zdaleka wydaje... Ludzie nauczyli się deptać po tych czarnych kolosach... A teraz, w wyższych niż nasze Tatry górach toczą się od tyłu miesiące walki... Wśród wieżnych śniegów, na lodowcach... Widzi pani ten wielki, czarny szczyt, taki groźny na pozór?... To Świniąca. Prowadzi na nią droga względnie łatwa i wygodna. Albo niech pani spojrzy w drugą stronę... Ta to ułta, szczerbata turnia z krzyżem na szczycie, to ojciec Zakopanego, Gewont... Prawda, jak niedostępnie, majestatycznie wygląda, a tymczasem na Gewont małe dzieci chdzą...

— Doprawdy? Można tam się dostać? Och! Jak bym chciała!...

— Życzenie pani może się spełnić z łatwością. Zabawi pani przecież dłużej w Zakopanem. Jeżeli czas pozwoli, wybierzemy się na kilka łatwiejszych wycieczek.

Ostatnie słowa lekarza zgasiły odrazu chwilowe ożywienie Józi, przypomniły jej twarzą rzeczywistość...

— Ja zabawię w Zakopanem?... Ależ nie mogę, bo ja...

— Ech! Co tam pani wie, co pani może lub nie — powiedział Rzęśniewski tonem napół żartobliwym, napół poważnym. — Pani jest jeszcze osómką bardzo młodą i niedoświadczoną, no i czasem trochę nierozsądną... Prawda, panno Józiu, bo tak się pani nazywa?... —

— Nierozsądną?... Ja jestem wariatka... szalona... panie doktorze — wybucha Józia ze zwykłą sobie zżerząścią.

— Tak znowu złe nie jest — uśmiechnął się dobrodusznie lekarz — ale w każdym razie przyznaję pani, że trzeba się panią opiekować... Pan Żarnicki chwilowo powierzył mi opiekę nad panią, ale ja ten przywilej przeleję na moją żonę... Jako kobiety, porozumiecie się lepiej... Tylko musi pani mojej żony słuchać, bo ona wymagająca i surowa... Nawet mnie porządnie w karchach trzyma...

Józia spojrzała na doktora zażawionemi oczami, w których promieniowała bezgraniczna wdzięczność.

— Jaki pan dobry dla mnie! Ależ ja nie mogę obarczać państwa sobą... I co powie pańska żona?... Ja nie zasługuję na tyle dobroci, bo jestem zła, niewdzięczna... Żeby pan wiedział, ile ja złego zrobiłam ludziom, którzy mnie kochali i byli dla mnie tacy, że już lepszymi być nie można...

W tym zapale samooskarżenia, była tak piękna, że Rzęśniewski nie mógł oprzeć się myśli:

— Długo, co za prześliczna dziewczyna! Chć człowiek ma łysinę i dzieci pięcioro i co innego w głowie, ale doprawdy, bezpieczniej będzie te pupilkę powierzyć żonie... No, ale ten Żarnicki musiałby chyba być manekinem bez krzty woli i bez kropli gorącej krwi, żeby sobie pozwolił podsunąć tę żółtą,

suchą tykę, Masłowską, zamiast takiego uroczego kwiatka...

Głośno zaś powiedział:

— Wiem o wszystkim, panno Józiu!... Pan Konrad mi powiedział... Trudno, co się stało, nie odstanie się, a serce nie sługa... Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze...

Józia pokręciła głową, wyrażając w ten sposób swoje smutne powątpiewanie.

— No, jesteśmy w domu. To moja chałupa. Oho! Żona wygląda przez okno i dziwi się, co to za gościa prowadzę...

Stanęli przed małą, drewnianą willą z oszkloną werandą. Lekarz popchnął furtkę i usunął się, robiąc Józi miejsce.

— Proszę, niech pani idzie... Jadwisiu! — wołał na żonę.

Ale pani doktorowa sama już zbiegła ze schodków werandy, zaciekawiona, kim jest ta piękna, młoda dziewczyna, którą jej mąż prowadzi.

Doktorowa Rzęśniewska była to kobieta trzydziestokilkuletnia, przywędła i mizerna, trochę jakby chorowita, czy znużona. Miała ona jedną z tych twarzy, które w wiosnianych latach dziewczęcych polne róże przypominają, ale wędną nadzwyczaj szybko.

Z całej dawnej białoróżowej urody pozostały jej oczy jasno błękitne, jak niezapominałki, o wejrzeniu miłym i łagodnym.

Józia na pierwszy rzut oka uczuła do niej sympatię i zaufanie. Odetchnęła lżej. Tak bardzo obawiała się, aby nie zobaczyć kogoś w rodzaju pani Żarnickiej.

— Moja Jadwisiu — zaczął doktor — przedstawiam ci pannę Józefę Maliniewiczównę z Krakowa, narzeczoną mojego pacjenta, pana Żarnickiego. Pani zabawi w Zakopanem czas jakiś... Ponieważ mamy pokój wolny, zaproponowałem, aby panna Józefa u nas zamieszkała...

Błysk zdziwienia przemknął w oczach doktorowej. Nie było dotychczas nigdy mowy o tem, aby mieli odnajmować pokój... Instycją kobietą wyczuła coś niezwykłego. Nie okazała jednak nic po sobie i odkładając na później wszelkie zapytania, wyciągnęła z uprzejmym uśmiechem rękę do Józi.

— Bardzo mi miło... Proszę, niech pani pozwoli dalej!

Józia zarumieniła się i zmieszana, zakłopotana zaczęła nieśmiało:

— Ja państwu robię kłopot... Doprawdy, nie chciałam...

— O tem potem, co pani chciała, lub czego pani nie chciała — wpadł jej w mowę doktor, chcąc przerwać przedczesne wynurzenia. — No, chodźmy! Nie będziemy przecież godzinę stać przed domem...

Wdzięk Józi ujął panią Rzęśniewską, a jej widoczne onieśmienie, oraz ślady łez i znużenia na tej ślicznej twarzy dziewczęcej, wzruszyły dobrą i wrażliwą z natury kobietę.

Ciepłej już, serdeczniej powtórzyła zaproszenie:

— Proszę pani.. tutaj do pokoju... Przedstawię pani moją dzieciarnię — dodała z zadowoleniem i dumą matki, dla której świat cały streszcza się w jej dzieciach.

Najstarsza, dziesięcioletnia dziewczynka, białoróżowa blondyneczka, podobna do matki, dygnęła przed Józią. Młodszy od niej trochę braciszek szurnął zamasyście nogami i usiłował nakłonić do tego samego chłonce, który schował się do kąta i stanowczo wzbraniał się dopełnić obowiązku przywitania.

— Waciu! Dlaczego jesteś niegrzeczny? Przywitaj się z panią! Fe, taki duży chłopak i taki dzikus — strofowała go matka.

Wacio przyparł się plecami do ściany, ustka wydał w podkówkę i nie chciał ruszyć się z miejsca. Zato śliczne, trzyletnie bobo podbiegło do Józi, wyciągając drobne rączki i nadstawiło do pocałunku różową buzię.

— Ach, co to za dziecko! Takie wesołe! Nikogo się nie boi i z każdym się wita! — zaczęła się zachwycać doktorowa swoją najmłodszą.

— Rzeczywiście śliczny, słodki, rozkoszny dzi-  
dziuś! — zawołała zupełnie szczerze Józia, która bardzo lubiła dzieci.

— Waciu, nie wstyd cię, że Jadzia, chociaż małutka, grzeczniejsza od ciebie?

— Daj teraz spokój Wackowi — wtrącił mąż. — Pozwól ze mną, mam ci coś do powiedzenia... Panno Józefo, proszę się rozgościć... Niech pani zdejmie płaszczyk i czapkę. Ot, tak... dobrze... Jadwisiu!

W sąsiednim pokoju ozwał się płacz niemowlęcia.

— Zaraz, mój drogi... W tej chwili... Sławuś płacze...

— Nic mu nie będzie! Jest przecież niańka przy